



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80. miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

WŚRÓD FAL.

Niebo bez chmur,
Tylko rozbity
Kryształów naniot srebrzysty
Okrągłym łukiem wgiął się w błękity...
Kopuła—słońca glob promienisty!
Muzyką—tęskny głos mewy,
Fal senne śpiewy
Orlich szum piór.

Wśród głębi mórz
Czarów kraina,
Rusalek łoża, nimf gwiazda...
Coś z wód wyziera: to grzbiet delfina,
Coś tęczą błysło: to morska gwiazda
Nad srebrne wybiegła fale,
To drżą korale
Swą pierśią z róż.

Jak senna błoń.
Pierś morza cicha
W rozkoszy pełnem omdleniu
Lekkim kolebem swych fal oddycha...

Pian srebrne bryzgi drżą w oddaleniu —
Owiane słońca pieśczołą,
Wplaczą nić złotą.
I rzuca w toń.

Poważny płas
Rytmicznym ruchem
Olbrzymie zatoczył koło...
Nagle wiatr lekkim owionął podmuchem,
Fala ramiona wznosi i czoło,
Lecz znów ją wiatru dech nurza,
Więc gniewna—pluska,
Uderza w dąs.

Gdzie nieba zrab,
Błękitów krańce
Ku morzu chylą ramiona...
Biegna dalekich wiatrów wysłańce.
Toczą się wiry i fal wrzeczona
W pian rozbryzganej koronie...
Grzmia morskie tonie
Tysiącem trąb.

I nowy cud!
Jasny glob słońca
Ostatnie rzucił promienie.
Przebiegł wąż złoty z końca do końca,

Jak błyskawicy ogniste drżenie...
I gdzieś zatonął w przestworzu—
Cisza na morzu,
Sen pośród wód!

Promienny pas
Na nieba czołe
Umierał w barwach purpury...
Mienił się krwawą wstęgą na dole,
Pierś miał w topazach, fiolet u góry,
Powiewał chwilę tęcz szale—
Stał się opalem...
I perłą zgaś.

W milczącą dal,
W granice świata
Szmaragdem spłynęło morze...
Noc!... Niebo zmierzchów owiła szata,
Delfiny poszły w koralów łożę,
Świat czarów cichą pierś kloni...
Wciąż tylko dzwoni
Senny plusk fal.

Kazimierz Gliński.

KOBIETA W STAROŻYTNYM RZYMIE.

przez

Józefę Żdzarską.

V.

Upadek.

Nie wszystkie matrony rzymskie były Tanakwilami, Lukrecjami, Weturiami, ale takie Tulie i synowe Tarkwiniuszów, należą do wyjątków.

W końcu IV-go wieku przed Chrystusem niemoralność kobiet rozszerzyła się w Rzymie, a na początku wieku III-go wystawiono świątynię Wenerze kosztem kar nałożonych na małżonki występne. Rok przedtem czysta matrona wystawiła świątynię czystości plebejuszek.

W połowie trzeciego wieku poraz pierwszy kobieta sprzeniewierzyła się majestatowi państwa.

Podczas drugiej wojny punickiej, wprowadzenie bogaetw z Samnium do miasta Romulusa, wpływ obyczajów greckich, wzrost majątku publicznego, — rozwinęły chęć zbytków, strojów, do których Rzymianki od niepamiętnych czasów miały wielką skłonność. Prawa więc ograniczyły posiadanie złota, zabroniły używania sukni o krzyczących kolorach, jeżdżenia wspaniałymi wozami, w Rzymie i w okolicy, pozwalając jedynie na wyjątki w czasie składania ofiar w świątyniach.

Ale przy końcu drugiej wojny punickiej, podług wyroczni Sybilińskiej „Rzym jedynie wprowadzeniem czci okazywanej matce bogów, Cybeli, mógł się uwolnić od Hannibala.“ Była to część w wysokim stopniu niemoralna.

Najszlachetniejsze matrony i młode dziewice, strażniczki ogniska świętego, oddawały cześć temu niemoralnemu bóstwu.

Teraz Rzym otwiera swoje bramy wszystkim religiom, pozwalając na obrzędy wysoce niemoralne.

Niewiara przyłącza się do zbytków, gubiąc Rzym, pozbawiając go tej siły moralnej, której zawdzięczał surowość swoich obyczajów i wiary. Wiara ta, jakkolwiek błędna, nie była pozbawiona ducha moralności, która nakładała na człowieka wędzidła wstrzymujące go od złego. Niebezpiecznym wprawdzie było pogaństwo, ale zgubniejszym jeszcze rdzenne niedowiarstwo.

Zesłabnięcie węzłów małżeństwa zaliczyć również potrzeba do przyczyn upadku moralności w rodzinach i w społeczeństwie rzymskim.

Pióro się wzdyga nu opisanie zepsucia, jakiemu uległa w późniejszym czasie matrona Romy. Ale przedtem jeszcze samowola mężka pastwiła się nad prawami i godnością kobiety.

Sulla ukochaną niegdyś żonę, stojącą już nad grobem, oddalił jedynie za to od ogniska domowego, że mogła mu zatruć szczęście z używania dyktatury.

Antoniusz cnotliwą Oktawią porzuca dla czarującej Kleopatry.

Surowy Katon z Utyki, ulegając ogólnemu prądowi, najgorszy z siebie daje przykład.

August napróżno usiłuje wstrzymać rozwody. Nawet niemoralny Martialis oburza się na łatwość rozwodów i z żalem pyta co się to stało z czystych niegdyś matron?

Mężowie tracą również swoją pierwotną godność — upadają. Żeniąc się bogato, ściągają na siebie prawdziwą klęskę, gdyż posag żony nie wystarczał na bajeczne jej zbytki. Dawny Rzymianin wolał żenić się z ubogą, lub nie żenił się wcale.

Ze starych zwyczajów zaręczynowych i obrzędów ślubnych pozostały tylko ceremonie, które pannie młodej towarzyszyły do mężowskiego domu. Ale śpiewy weselne nie brzmią już dawną prostotą i czystością.

Mieszkanie matrony obecnie odpowiada duchowi epoki.

Drzwi obłożone marmurem lub bronzem prowadzą do korytarza, z którego wchodzi się do atrium z podłogą mozaikową, otoczoną kolumnami wpośród których poustawiano posagi. Przez otwór w górze sali wpływa światło, woda z dachu wpada do basenu.

Przez drzwi korytarza widać portyk (miejsce przechadzki dla rodziny). Obszerną tę przestrzeń pod otwartym niebem otaczają kolumny, w samym środku sadzawka z klombami, ozdobiona fontanną. Wokoło tego wspaniałego dziedzińca biegają sale służące do użytku domowego. To Atrium.

Za atrium, po-dawnemu, mieści się łóżko z drogocennego drzewa, ozdobione kością słoniową, albo skorupą żółwia o nogach srebrnych lub złotych, pokryte purpurą haftowaną złotem.

Ognisko domowe na dawnym miejscu, chociaż w domach zamożnych umieszczone jest w oddalonej części domu. Obrazy przodków, archiwum rodziny mieszczą się w *tablinum*, które wychodzi na portyk. Część ta ozdobiona jest freskami przedstawiającymi widoki, sceny mitologiczne. Z lewej i prawej strony mieszkanie pana domu, gdzie przyjmuje on gości i klientów.

Kolumny z zasłonami oddzielają atrium od *tablinum* i mieszkania pana domu.

Wizbie gospodarze po-dawnemu upływa życie domowe. Tu matrona jest panią, często despotyczną. Wszędzie, gdzie mąż rozkazuje, matrona panuje.

W sali jadalnej, *triclinium*, rozpościera się cały zbytek i cała zniewieściaość upadku. Łóżka na których spoczywają goście, z trzech stron otaczają stół o jednej nodze ze słoniowej kości. Skorupa żółwia, srebro, złoto, błyszczą na tych łóżkach brązowych, pokrytych bogatymi dywanami Babilonu.

Matrona wspierając się na lewym ręku, na poduszce jedwabnej, zajmuje przy mężu miejsce honorowe, kobiety zaproszone również spoczywają na łóżkach.

Potrawy bardzo już w tym czasie były wyszukane, w ich skład wchodziły: jaja strusie, pawie i innych ptaków rzadkich — wreszcie całe pawie, ze świetnym swoim upierzeniem, dziki, z których wnętrza wylatywały ptaki — wreszcie słowicze i innych ptaków języki. W czasach złotych i w wazach etruskich podawano najdroższe wina.

Rozdawszy biesiadnikom korony, które Starożytni uważali jako zaradczę środki przeciwko pijaństwu, pani domu opuszczała salę.

W bufecie ozdobionym marmurem i srebrem, znajdowały się czasze złote, wyłożone drogimi kamieniami, i inne naczynia srebrne i kryształowe.

Lampy wiszące i stojące oświecały salę.

Atrium przeznaczone był wyłącznie dla rodziny.

Naokoło portyku urządzone były pokoje sypialne, łaźnie, kaplice domowe, biblioteki i galerie obrazów — pokoje do przyjmowania gości, bo Rzymianin gromadził w głębi swego mieszkania wszystko to, co mogło służyć do dodania uroku i błęgiego spokoju życia.

Wesoła i żywa rozmowa matrony ożywiała nieraz rozprawy filozoficzne mężczyzn. Lecz matrona mieszała się niekiedy do nich, bo w tym czasie kobiety czytywały, nie tylko poezję, ale i poważne dzieła naukowe.

Chociaż pokoje do przyjęcia gości odznaczały się już w tym czasie wyszukaniem zbytkiem, jednakże sypialnie zachowały swoją skromność pierwotną.

Obok sypialni matrony mieściły się pokoje z kuframi, pudełkami, zawierającymi rozmaite drobnostki, które Rzymianie nazywali *świątem kobiety*.

Moda często zmieniała ozdoby ubiorów, ale *stolla* i *palla* długo zachowały swój krój pierwotny.

Stolla była długą tuniką, której kobiety niemoralne nosić nie miały prawa; robiono ją z *trenem* powłóczyстым, przywiązywanym do paska, *pallę* zaś, szeroką draperyą, zarzucano z prawego

na lewe ramię. Płaszcz ten mógł służyć za zasłonę. *Soccus* (trzewiki) okrywały całkowicie nogi. Koturny miały podeszwy tak grube, że podwyższały osoby małego wzrostu.

W domu kobiety nosiły krótszą tunikę i podeszwy przymocowane do nogi rzemieniami.

W skład tych tunik wchodziła wełna, jedwab Arabii i Chin, tkaniny przezroczyste z Kos, purpura z Tyru.

Rzymianki używały wszelkich kolorów prócz czarnego. *Palla* np. barwy żółtej, pokrywała tunikę różową, fioletową lub białą, podbitą fioletem.

Lecz suknie te nie matrony tkwały, jak w pierwotnych czasach, ale robotnicy. Włosy, na przodzie ufrызowane i lekko podniesione w górę, spadały z tyłu głowy w loki lub splecione były w warkocze, albo ujęte w jeden ogromny warkocz ułożony na wierzchu głowy w piramidę. Dodały ozdoby wstęgi ze lnu, haftowane złotem w liście, spadające na ramiona.

Kilkanaście niewolnic ubierało panią; każda miała inne zajęcie: jedne układały włosy na głowie, inne farbowały rzęsy i brwi na blond, nadawany białosze cerze a nawet zębom.

Używano najrozmaitszych kosmetyków.

A jakaż była różnaitość w klejnotach, składających się ze szmaragdów, topazów, pereł Indyj! Przecież rzeźbione dyademy grecko-etruskie ze złota, emaliowane; ozdabiały je stokrotki sztuczne, obiegające dyadem dokoła, w środku jaśniało serce z pereł, z helleńską prostotą wykonane. Do rzędu piękniejszych ozdób należały kolie greckie, składające się z gwiazdek złotych, otoczonych perłami, szpilki do włosów w kształcie kolumny, z której Venus się wynurzała, bransoletki najrozmaitsze, kolczyki niekiedy ogromne.

We dwadzieścia lat po drugiej wojnie punickiej, liczne grono matron udało się na Forum, rozmawiając po drodze ze spotykanymi konsulami, udającymi się na miejsce publiczne, czego dotąd zgodnie z przyjętymi zwyczajami, kobiety nie ośmielały się czynić.

Dwóch trybunów miało żądać zniesienia prawa ograniczającego zbytek kobiet.

Pierwszy Katon zabrał głos, wyrzucając najprzód mężom, że ich słabość ośmieliła kobiety przyjść aż na Forum, by ich opanować aż w życiu publicznym.

Mowę jego energiczną, zapobiegającą zbytkom, a więc zepsuciu, poparło dwóch trybunów.

Lecz Waleryusz stanął po stronie kobiet, wynosząc ich zasługi, położone dla kraju, żądał: by je nie uważano za niewolnice, bo jeżeli sąsiednie ludy pozwalają nosić kobietom złoto i purpurę, czemu i Rzymianie mają pozbawiać rodaczki swoje tych królewskich ozdób? „Czy czaprak waszego konia — zakończył — ma być piękniejszym, niż suknia waszej żony?“

Zniesienie prawa ograniczającego zbytki kobiet spowodowało wtargnięcie ich na Forum. Tu poczęły bronić swoich praw. Sentia i Hortensya wzbudziły uwielbienie swoimi mowami pełnymi siły męskiej, ale żona senatora Afraniusza, ciąglem ukazującym się na placu publicznym, krzykliwe, niesfornym zachowaniem się, oburzyła wszystkich.

W tym czasie po raz pierwszy ukazuje się w Rzymie pedantka, która nikomu do słowa przyjść nie pozwala, wreszcie ciekawska, przechwalająca się korzyściami, jakie jej nadało urodzenie i jej osobiste przymoity; nakoniec na widownię występuje gaduła, szukająca nowinek, które roznosi po mieście.

Za Tyberiusza zepsucie patrycyuszek doszło do najwyższego stopnia, posunięte do zbrodni. — Na usprawiedliwienie swoich zdrachności, ubliżających godności niewieściej patrycyuszka woła: „Jestem również, jak męczyzna, człowiekiem“.

Matrona Rzymska zapomina, że jest matką i żoną, płami ognisko domowe. Z największym upodobaniem przypatruje się walkom gladiatorów, wielbi ich siłę, żywiąc dla nich występne uczucia.

Okrucieństwo łączy się do zepsucia. Pióro się wzdyga na powtarzanie opisów Juwenalisa, lwie, tygrysie w ludzkim ciebie, które zapomniały,

że są kobietami, że mają ludzkie serca. Ofiarami ich okrucieństwa są niewolnicy, a szczególnie piękne niewolnice. Złość swoją wywierają nade wszystko przy czesaniu włosów i ubieraniu.

Obowiązki matek powierzają służącym, a same dorastającym córkom najgorszy przykład dają. Nie podobnego nie działo się w Indyi, w Grecyi, w czasach nawet największego upadku. Rzym jeden w starożytności zdobył się na Liwie, Messaliny, Agrypiny, te potwory niegodne imienia matek, żon, słowem kobiet. Więc też były to matki, Neronów, Karakallów, Heliogabalów, wyrzutek tego, w najwyższym stopniu zepsutego społeczeństwa, będącego w epoce zepsucia zakalą rodzaju ludzkiego.

Zbytek bajeczny arystokratycznych matron rzymskich w miarę możności naśladowały plebejuszki.

Zabobony, okrucieństwa, niemoralność posunięte do ostateczności, spowodowały wprowadzenie bachanalii, w najwyższym stopniu niemoralnych obrzędów, pokrytych pozorem religii.

Nie mam odwagi opisywać tych strasznych, zbrodniczych obrzędów i wypływających z nich zbrodni, gdyż oburzenie i wielka boleść przejmują serce na myśl, że człowiek, na obraz Boży stworzony, tak nisko upaść może i że w tym strasznym ziemskim szale, ukazuje się korona stworzenia, najpiękniejszy kwiat ziemi: kobieta.

Na pociechę niezagasłych uczuć człowieczeństwa w sercu nawet upadłej kobiety, powiedzcież możemy, że Hispala Tecenia, pokochawszy młodzieńca Ebeiusa, chcąc go uchronić od wtajemniczenia się w obrzędy bachanaliów, pierwsza wydała okrzyk zgrozy.

Konsul Postumius odkrywa senatowi wszystkie zbrodnicze obrzędy wtajemniczonych. Najsurowsze środki zostały przedsięwzięte, i bachanalje, do których należało 7.000 wtajemniczonych, zostały zniesione; winni zaś, tak mężczyźni jak kobiety, surowo ukarani zostali.

W sześćdziesiąt lat później, niemoralność wniknęła aż do świątyni Westy.

Aby zapobiedz złemu — senat uchwała wystawienie świątyni Wenerze! Kobieta szła szybkim krokiem ku przepaści, w jakiej pograżyła się ojczyzna.

I mężczyzna nie jest bez winy: zdradza żonę. Żona widzi przy swem ognisku domowem fałszywą miłość: niewolnicę.

— Al... — Straszne przecucie przebiegło jej przez głowę.

— Czy powiesz mi, gdzie jedziesz? — pyta drżącym głosem.

— Powiem, — rzekł, — z tem tu przyszedłem właśnie. — Pochylił się ku niej i popatrzył w oczy z miłością.

— Po co mateczka pyta, gdzie jadę, kiedy wie o tem równie dobrze jak ja? Wszak nie może być inaczej, prawda?

Wziął obie jej ręce i położył sobie na czole.

— Boli tu, matko — szepnął — boli i boleć będzie dopóty, dopóki on mnie, albo ja jemu nie rozszadzę czaszki. Zaciąsną nam dwóm na świecie.

Matka drżała, nie zdolna wymówić słowa. Syn patrzył na nią, ze smutkiem.

— Moja ty odważna mateczko! niech ja nie widzę twojej boleści — prosił gorąco.

Tak być musi! A co jest koniecznem, rozpaczając nad tem nie warto.

— Alboż to jest koniecznem? — podjęła matka odważnie. — Ja zapatruję się na to inaczej.

— Inaczej? O matko! nie może być dwóch zdań w takiej sprawie, — rzekł stanowczo.

Jeden jest honor i jedno zadosyć uczynienie.

— Tak, mój drogi! Gdzie jest krzywda, tam i zadosyć uczynienie być musi — odparła. — Ale...

— Matko! — Stefan zerwał się gwałtownie.

Więc tu nie było krzywdy? Czy mnie słuch myli, czy istotnie słowa te z ust twoich słyszę?

— Nie cofam ich, mój synu — rzekła.

W moim wieku — nie zapomniaj dziecko — słów nie rzuca się na wiatr.

— Więc jakże to mam rozumieć, na Bogal! — zawołał Stefan. — Złorzeczyłem, przeklinałem

moją chorobę, szamotałem się bezsilny w ciągu tych tygodni kilku i dziś, gdy nareszcie odzyskałem siły, gdy nadeszła chwila obrachunku z tym nędznikiem, każesz mi wierzyć, że on nie winien i że upominać się o moją krzywdę nie mam prawa!

— Uspokój się, mój drogi, — prosi matka, patrząc na niego z trwogą. Jesteś jeszcze rekonescensem, wyglądasz tak mizernie... Nie mogę temu uwierzyć, abys dziś chciał jechać...

— Muszę, matko! — odparł stanowczo.

Matka położyła mu dłoń na ramieniu.

— Mówmy spokojnie — rzekła.

— Nie potrzebujesz się wzruszać, bo w rezultacie zrobisz, jak zechcesz; ale niechże i stara matka coś o tem powie.

Powtarzam raz jeszcze: tu niema takiej winy i obrazy, którąby krwią okupić trzeba było.

Stefanie! Twoja żona była bardzo młoda, była piękną, a wychowanie, jakie odebrała, wiele pozostawiało do życzenia.

Przy niezwykłej urodzie, która dla kobiety nie mającej gruntownych zasad niebezpieczną bywa, wyradza się kokieteria i lekkomyślność...

— Matko! — przerwał Stefan z bólem.

Nie mów tak... ja kocham pamięć mojej żony.

Głos mu się złamał, nie mógł mówić więcej.

— I słusznie robisz — odparła matka.

Żona twoja była nieaprecjacja piękną kobietą i miała też oprócz wad i dobre przymioty.

Raziła mnie wprawdzie lekkomyślnością; nie mogłam pojąć tej szalonej żądzy zabaw, która ją pchała bezustannie do rozrzutności i nadwężenia zdrowia; ale to usunąć można było, kierując konsekwentnie jej przyszłością.

Lubiła hołdy; — prawie wszystkie je lubią; ale kochała cię, Stefanie.

Czy to Kamieniecki czy ktokolwiek inny zajął ją chwilowo, to już wszystko jedno...

Stefan się zerwał chcąc przerwać matkę.

— Nie skończyłam; — ubiegła go, zanim usta otworzył.

— Pytam cię: czybyś mógł i chciał pojedynkować się z każdym, kto otrzymał płochy, ale w gruncie rzeczy niewinny uśmiech, dowcipne słówko lub spojrzenie twojej żony?

Słuchał i nie przerywał, ale cierpiał widocznie.

Matka głowę jego przytuliła sobie do piersi.

— Drogi synu — szepnęła.

Drogi — jedyny synu!

Odsunął ją łagodnie i powstał.

— Nie mam siły, matko — dysputować z tobą w tej kwestyi — rzekł smutno.

Boli mnie to, co słyszę, jakkolwiek wszystko co mówisz słuszne jest i sprawiedliwe.

Żonę moją kochałem taką, jaką była. Kochając, wiele się przebacza, wiele rzeczy się nie widzi lub nie chce widzieć.

Lekkomyślność jej nie broni od kary tego nędznika, który się przyjacielem moim nazywał.

Chociażby namiętność, jaką w nim wzbudziła, najczystsza, najgorętsza była miłością, to i tak uciec od niej był powinien.

Świadom był chyba następstw i tego bólu, jaki mnie pożerał.

— O matko! — ty nie wiesz, jakim ja cierpiał; bo gdybyś wiedziała, nie mówiłabyś o tem tak spokojnie, nie kazałabyś mi przebaczać!

— Moje drogie dziecko — rzekła — rozpacz czyni cię niesprawiedliwym.

Cierpiałam i cierpieć razem z tobą, tylko sposób, w jaki zapatrujemy się na tę kwestyę, jest nieco odmienny.

Niema chyba mężczyzny, któryby będąc pociągany urokowi pięknej kobiety, oprzeć się potrafił.

Słabi jesteście wszyscy niemal bez wyjątku, i dla tego, Stefanie, proszę cię bądź pobłażliwym.

— Jestem jednak przekonany, że ten nędznik przyczynił się do śmierci Lili i musi za to zapłacić.

Oko za oko — ząb za ząb! — Chwila, w której krew jego zobaczę, nasyci dopiero moją zemstę!

Seisnął głowę rękami i opadł bezsilny na fotel.

Matka patrzyła na niego z boleścią.

— Nie poznaję cię, mój synu; — wprawdzie miłość gra bardzo ważną rolę w życiu, ale nie pierwszorzędną.

Żle kochają, którzy zapominają o tem. Stefan zerwał się wzburzony.

— Matko — zawołał z bólem — nie mam już siły słuchać cię dłużej...

— Bo wiesz, że mam słusność — dokończyła i isierka nadziei błysnęła w jej oczach zmęczonych bezsennością i łzami.

— Szczególnie wy bo macie pojęcie — mówiła dalej — Dla mnie honor twój — honor Rumszańskich, — droższym jest nad życie; ale przelać krew dla kaprysu kobiety, to już tylko zemsta nieszlachetna, skierowana wyłącznie dla osobistego zadosyć-uczynienia.

Umilkła — zmęczona. Była bardzo wzruszona i bardzo blada.

Stefan ukląkł przed nią.

— Matko! — bądź wspańiałością — prosił — Ja... ja przebaczyć nie mogę. Czuliśmy się upokorzonym do głębi, gdybym poszedł wbrew moralnym zobowiązaniom, jakie każdy honorowy człowiek przyjmuje na siebie. Skończmy już tę rozmowę. Taki jestem zmęczony, wyczerpany! a postanowienia mego nie zmieniają ani prośby ani nawet łzy twoje.

— Ja też nie płaczę, ani proszę — odparła matka głucho, spychając okropny ból gdzieś na dno serca. — Powiedziałam tylko co myślę.

Stefan przytulił głowę do jej kolan.

— Wolalbym stokroć, abys płakała — szepnął. Twoje męstwo budzi we mnie cześć najwyższą, ale szarpie serce bólem nad bólem.

Matka po zsiwiałych przedwczesnie włosach syna — przesunęła ręką pieszczotliwie.

— Wszak to ja, syn jedyny, ostatni z czterech, których straciła i po których rozpaczając sobie nawet nie pozwoliła: Jej duma i chluba, wesele starych oczów, pociecha dni ostatnich.

Nie próbowała już walczyć; chciała tylko zapamiętać te ukochane rysy; wyglądała każdą zmarszczkę przedwczesnie wyrytą.

— Jedź z Bogiem, dziecko — jedź!...

Syn ukląkł przed nią.

— Twoje przywiązanie i modlitwa ocalać mnie, matko — rzekł Stefan głęboko wzruszony.

— Przecucie mówi mi, że nie rozejmujemy się na zawsze. Wróć do ciebie — do mojej malej Lili, do tego kawałka ziemi, który tak kocham.

Stał przy oknie i łza, której powstrzymać nie zdołał, stoczyła mu się po licu.

Otarł ją szybko, pochylił się do kolan matki raz jeszcze i wybiegł z pokoju.

W godzinę potem opuścił Rumszany, a gdy rankiem dnia następnego powracał do nich, był już

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDE GROT BĘCZKOWSKĄ.

(Dalszy ciąg)

II

Do pokoju matki w kilka tygodni po śmierci żony wszedł Stefan Rumszański.

Ciężka choroba, jaką przeżył, pozostawiła ogromne ślady.

P. Rumszańska zmieniła się i postarzała: ożywiła się jednak, na widok wchodzącego.

— Jakże się czujesz, mój drogi? — spytała z niepokojem.

— Dobrze, matko, — odparł Stefan siadając przy niej. O tyle dobrze, że mam zamiar dziś wyjechać.

— Dziś? — Spojrzała na niego przerażona. — Zartujesz chyba?

— Nie, matko, — odpowiedział poważnie. — Jadę i proszę cię, nie zatrzymuj mnie. Muszę jechać!

tylko martwym ciałem, bo duch uleciał w nieznane światy, rozwiązać zagadkę niewyjaśnioną na ziemi.

III.

— Panienko! p. Lilo! że też to jasnie pan (niech mu wiekuiście jasność świeci), pozwolił od kwiatu ochrzcić panienkę! Do czego to podobne mosanie! Mało to uczciwych imion mamy w kalendarzu? trzeba mu było po ogrodach szukać — mówi do siebie stary Maciej, kamerdyner nieboszczyka ojca Lili, siedząc na ławce w ogrodzie.

— A niechże panienska idzie — powtórzył głośniejsze.

— Idę już, idę — odpowiada mu młody głosik, a małe nóżki uwijają się między klombami kwiatów, goniąc olbrzymią piłkę.

— Idę, mój Macieju, mój złociutki, srebrniutki, śliczniutki!

Stary podniósł się z ławki.

— Toć od godziny słyszę, że panienska idzie i na tem się kończy — rzekł nadąsany.

— Słońce już teraz pali, mosanie, w południe będzie upał i starsza pani jechać nie pozwoli.

— Toć piłka nie ucieczy, a w Rumszanach tak dawno panienska nie była...

Balbina kołaczy pewnikiem napiętką, leśny przyniósł miód... Spodziewają się panienki.

Ośmioletnia dziewczynka z lasem ciemnych loków na głowie, z ciemnymi przepysznymi oczyma, stanęła przed Maciejem w jednej chwili.

— Leśny przyniósł miód? — spytała z ciekawioną. — A czy Balbisia pozwoli zjeść dużo, bardzo dużo?

— Czemużby nie? — rzekł Maciej, ujmując rączkę dziewczęcia. — Cóż to miód — trucizna czy co?

— Babunia mówi, że słodczyce psują zęby — rzekła mała z poważną miną.

— Ja muszę mieć ładne ząbki. Babunia mówi że powinnam być tak ładna, jak mama była.

Stary pokiwał głową.

— El co tam uroda znaczy, mosanie! Byłe serce było pocziwe a w głowie rozumu trocha, to i bez urody można się obejść.

Mała spojrzała na niego zgorziona.

— Babunia mówi... zaczęła znowu, ale Maciej nie pozwolił jej dokończyć.

— Więc jedziemy do Rumszan, panienko, czy nie? — pyta.

— Jedziemy, jedziemy! — klasnęła w dłonie z ucieszą. — Zjem dużo miodu i babuni nie nie powiem. I tak będę taka ładna, jak mama.

Zesnurowała usteczka, przymrużyła oczy załotnie.

Maciej pokiwał głową.

— Zawsze się krew odezwie — rzekł. — Od ziemi załedwie odrosła, a już się krygować potrafi. Takienka rychtyg jako i nieboszczka była.

Podjął leżący na ławce kapelusz, odebrał dziecku piłkę, która jej się ciągle z maleńkich rączek wymykała, i poszli.

W kwadrans potem małym wolancikiem jechali do Rumszan.

Dziewczynka kręciła się bezustannie. Śmiała się, przechylała; stary aż się zmęczył ciągłym nad nią czuwaniem.

Małą milkę przebiegli szybko.

Gdy wyjechali z lasu, pałac Rumszański wyrzwał ku nim z klombu drzew; błysnęła w słońcu złocista wieżyczka kościoła, białe, sebludne chaty wiejskie i modra toń jeziora.

Stary Maciej uśmiechnął się radośnie.

— Panienko, oto i nasze Rumszany — rzekł. — Bodaj to, mosanie! Co to już człek na świecie widział, a wszystko nie to. Niech-no panienska popatrzy.

Mała spojrzała obojętnie.

— Czy zajedziemy najprzód do Balbisi? — spytała.

Stary ręką machnął.

— Wstyż się, dziecko — rzekł surowo. — Tak dawno nie byłaś na grobie rodziców, nie widziałas portretu tatusia, a o Balbinę się pytasz. Pewno ci o kołacz chodzi, a nie głodnaś przecie.

Zajechali przed pałac; Maciej wziął Lilę na ręce i wniósł do pałacu.

Mimo, że stał pusty od śmierci p. Rumszańskiego, nie robił jednak smutnego wrażenia.

Stary Maciej miał klucze; strzegł, okurzał i jemu tylko zawdzięczały wizerunki antenatów rodziny Rumszańskich, że ich pajęczyna nie osnuła ze szczętem.

Pani Dolewska, babka Lili, nie dbała o nie; wraz ze śmiercią córki, Rumszany interesować ją przestały.

Gdy weszli, wesoly promień słońca wpadł za nimi do portretowej sali. Maciej uśmiechnął się rozpromieniony.

Czy to widok twarzy, które patrzyły na niego z portretów, czy ten promyk słoneczny odmłodził staruszkę: dość, że zmienił się do niepoznania.

Wzrok mu błysnął ogniem młodości, sumiastego wása z dumą pokręcił.

Lila pociągnęła go za rękaw.

— Gdzież jest portret mamy, Macieju? — woła z pewnem zniecierpliwieniem w głosie. — Ja chcę go zobaczyć!

Tupnęła nóżką, nawykła do rozkazywania i przyzwyczajona, aby ją słuchano.

Maciej zwrócił się ku niej.

— Niech-no panienska będzie grzeczną — mówi. — Kto to widział tak się zaraz gniewać? Jasnej pani portretu niema, bo... — zakrzuszył się stary; nie wiedział co dalej powiedzieć.

Lila zobaczyła pajaka zwieszającego się nad swą głową, przelekła się i o portrecie zapomniała.

Wkrótce potem w małym, czyściutkim pokoiku w oficynie siedziała przy stole Lila z kotem na kolanach i powalana miodem buzią.

Najadła się już do syta, nakarmiła kota i teraz mruczenie jego i gorąca południowa godzina, usposobiły ją do snu.

Nie szczebioce już; przymknęła oczy, główkę opuszcła na piersi. Macieja nie ma. Z sąsiedniej izdebki wyszła staruszką z białymi jak śnieg włosami, w białym czepeczku z pękiem kluczyków wyglądającym z kieszeni fartucha.

Była to Balbina, obecnie wielko-rządca w spódnicy Rumszańskich pałacu. Pocziwa staruszką tak się zrosła z drzewami parku, z pustymi komnatami, z kościółkiem, gdzie pierwszą komunie brała, że gdzieindziej wyżyć-by już nie potrafiła.

Nie miała też nikogo na świecie oprócz tych pamiątek, między którymi upłynęła jej młodość i które tyle, tyle lat z nią przeżyły.

Sierotę wzięła jeszcze do garderoby matka Stefana Rumszańskiego, kazała nauczyć szyć, haftować, a że Balbisia ubogą była i brzydką, więc się nikt o wzięcie jej za dozoną towarzyszkę życia nie pokwapił.

Do pani Rumszańskiej przywiązała się z psią niemal wiernością.

Od świtu do nocy czynna, gdzie tylko mogła i jak tylko mogła, służyła swej pani.

O! pocziwa staruszką dużo rzeczy pamięta! Pamięta jak młody pan przywiózł matce synową i jak od tego dnia, od którego przewrót całego domowego ładu się zaczął, starsza pani modliła się i płakała często, a młoda fruwała po całym domu jak motylek, śmiała się, śpiewała, a drzwi od pokoju starszej pani omijała zdaleka.

I pamiętała jeszcze Balbinę, jak lat temu osiem, w sypialnej komnacie Rumszańskich pałacu odezwał się płacz dziecinny, potem jęk głęboki i gdy czarne oczy małej Lili otworzyły się do życia, wkrótce potem równie piękne oczy jej matki zamknęły się na zawsze.

I od tej chwili nieszczęścia nie opuszczały Rumszańskich pałacu.

W kilka tygodni po śmierci żony Stefan Rumszański nagle życia zakończył.

Różni różnie o tym wypadku mówili, ale mówili pocichu, w szczipie nader kółku.

Był to ostatni hołd, oddany pamięci zacnego obywatela, dobrego pana i nieszczęśliwego męża, — hołd, który wobec ogólnoludzkiej chęci szperania w sprawach bliźnich godny jest zaznaczenia.

Stara pani Rumszańska śmierci jedynego syna przeżyć nie mogła.

Tyle smutnych przejść i tak niespodzianie uderzył w nią cios ostatni, że nie chorując prawie, gasła powoli, aż dnia pewnego znaleziono ją nieżywą przed portretem syna.

O! Balbina to wszystko pamięta.

Błądzi nieraz po pustych komnatkach, ociera oczy fartuchem i szepee:

— Jakby to tu było teraz ludno i wesoło, gdyby pan Stefan inną był synową starszej pani przywiózł. Jakby to był!

Stary Maciej i Balbina stanowią teraz całą Rumszańską służbę.

Rumszany są wydzierżawione; pałac tylko exepowano, jako pełen rodzinnych pamiątek.

Staruszką ułożyła dziecko wraz z kotem na łóżku i patrząc na nie utonęła w wspomnieniach.

Upłynęło pół godziny, do izby wszedł Maciej.

— A co tam nasza mała? — pyta, oglądając się wkoło.

— Śpi... — uśmiechnęła się staruszką. — Na stoleku mi z kociakiem usnęła; musiałam ich przenieść oboje na łóżko, bo tak go trzyma, że ani rusz odebrać.

Maciej otarł pot z czoła i usiadł przy stole.

— Uf! jaki upał, oddychać ciężko. Okrutniem się zmachał, choć to niby niedaleko. Starość nie radość, pani Balbino; nie tak to dawniej bywało, mosanie, prawda?

— Juści prawda — odparła z westchnieniem. — Człek w lata idzie, a nie cofa się. Dużośmy smutków widzieli, panie Macieju, a nie wiadomo czy się radować przed śmiercią będziemy. Cóż tam słyszeć w Zagórowie? Przy małej tom i pytać nie chciała. Jakże tam?

Maciej ramionami wzruszył.

— Jak było — rzekł. — Wszysey kole dziecka latają na palcach, a dziecko jak dziecko; widzi, że mu wolno, to wszystkich za głowy trzyma.

Balbina odłożyła pończochę i przysunęła się do Macieja.

— Pytała mię dzisiaj o portret nieboszczki pani Stefanowej — rzekła. — Chciała go gwałtem zobaczyć.

— A co! — Maciej poruszył się żywo. — I mnie pytała; ledwo mi się wykreślił. Ciekawym: co też pani Balbina powie, jak zapyta znowu?

— A ja ciekawam co pan Maciej powie — odrzekła.

— Dalibóg, nie wiem, mosanie; — przyznał się otwarcie Maciej.

— No, to i ja nie wiem — uśmiechnęła się Balbina. — A zawsze co mężczy rozum, to nie babski.

Zamyślił się oboje.

— Mój Boże! — zaczęła po chwili staruszką — jak to sobie człek przypomniał wszystko, to aż mrowie przechodzi. Co to się starsza pani napłakała, co się panisko nagryzło! — i wszystko napróżno. Jak ten młody żrebak, gdy go na łąkę, na ten przykład, wypuszczą, tak i tej naszej młodej pani brykać się zacheiło, jak tylko męża dostała. I z tego oto poszła cała bieda. Dziecko sierota i my starzy po naszych dobrodziejach sieroty.

Otarła oczy fartuchem, Maciej chrząknął znacząco.

— Jako żywo, ta chwila do śmierci mi w pamięci zostanie — zaczęła Balbina znowu — kiedy to jasnego pana nieżywego z onego pojedynku przywieźli. O Jezul Jezul co to było! Jak starsza pani wybiegła z ganku, jak skoczyła za bramę kiedy powóz się zbliżał a tak szedł wolnusięko, nawet pocziwe koniska lby pospuszczały, bo już chyba wiedziały, co ino ciała swego pana wiozą. Pani ani krzyknęła, ani zapłakała. Stanęła kawałek za bramą, załamała ręce i tak czekała. O Jezul! Pocóż-em ja to widziała! Już mi tego do śmierci nie zapomnieć. Naszych ludzi zleciała się zaraz gromada i zrobił się taki płacz, co go chyba i w niebie Bóg sprawiedliwy usłyszał. Nasza pani tylko nie płakała. Kazała przystanąć, gdy podjechali, i do powozu zajrzała. Ale nie krzyknęła nawet; wzięła rękę, co się nieboszczykowi zwieszała na bok, i położyła mu na piersiach. Jedź, Wojciechu, rzekła do stangreta, a powolutku. I szła sobie przy powozie taka cichutka i taka wyprostowana, jakby jej naraz z dziesiątek lat ubyło. Umilkła zasmucona i Maciej posmutniał.

— Toć i ja to pamiętam — rzekł po chwili — pamiętam jak starsza pani, po onym pogrzebie wła-

śnie, zawołała mię do portretowej sali. Ciężki to był dzień, mosanie! Jakem wszedł, stała akuratnie przed portretem jasnego pana i mówiła a mówiła jakby do żywego. Nie śmiałem się ruszyć, ani odezwać; lży mi tylko, mosanie, ciurkiem leciały. Raptem pani się odwróciła, ażem zdretniał. Taka była blada, jakby z grobu wstała. Trzęsła się... zęby jej dzwoniły i wyciągnęła rękę pokazując na portret młodej pani.

— Zabierz to, Macieju — mówiła — zabierz ztąd i niech oczy moje nie widzą go nigdy. Zrób z nim co chcesz: spal, zniszcz, ale dziecko niech go nie widzi, i ja patrzeć na niego nie chcę.

I z temi słowy padła na ziemię, jak nieżywa. Jużesmy też od tego czasu zdrową jej nie widzieli, pani Balbino. Gasta i gasta, jak ta lampa, kiedy w niej oleju zabraknie, i usnęła nam, aniśmy wiedzieli kiedy.

Otarł lży i machnął ręką.

— O! co przypominacie! zapomnieć, jak i o tym portrecie wszyscy zapomnieli. Wyrzuciłem go na strych, między stare rupiecie, i pewno go tam myśzy zjadły.

Zadumali się starzy Lila poruszyła się na łóżku.

Otworzyła oczy i wyciągnęła ręce do Balbiny

— Weźcie kotka odemnie — szeptala wpół sena — nie chcę kotka, taki brzydki...

— A napierała się panienska o niego i mówiła, że śliczny — odparła Balbina i wzięła dziewczeczkę na ręce — Napije się panienska mleka i pójdzie z Maciejem do proboszcza — rzekła. — Proboszcz się już pytał o panienkę...

Lila się skrzywiła.

— Nie pójdę, ja nie chcę do proboszcza. Co ja tam będę robić?

Kiedy trzeba, panienko — wmieszał się Maciej. — Proboszczowi się to od dziedziczki należy. Jakże-by to wyglądało? Niech-no panienska nie grymasi! On tak lubi panienkę...

Ale ja go nie lubię! — krzyknęła ze złością. — Taki stary i brzydki! Nie pójdę!

Rozgrymasiła się na dobre. Tupiała nóżkami, wyrывała się z rąk Balbiny, krzyczała na Macieja.

— Otóż to tak jest zawsze — mruknął Maciej ze smutkiem. — I co tu można poradzić?

— Ha! to jedźmy do domu, kiedy tak — rzekł do Lili. — Ale proboszczowi przykro będzie...

Lila uśmiechnioną już twarzą przyluliła do pomarszczonej twarzy Balbiny.

— Przyjedziemy tu niedługo, Balbisiu — obiecywała — a schowaj dla mnie dużo miodu.

Staruszka patrzyła za nimi długo i lża kręciła się w jej oku.

Pokiwała smutnie głową i poszła do swej izdebki, gdzie towarzystwo Mruczusia kota i nieodstępnej pończochy, miały jej znowu na czas dłuższy zastąpić dziecięcy śmiech i szczebiot Lili, którą mimo jej wad kochała bardzo.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów, w Kwietniu.

Od tygodnia na scenie teatru naszego króluja — „Bajki“ — nie żadne jednak czarodziejskie, wróżek i uroków pełne, ale bardzo prawdziwie z rzeczywistego życia zebrane, a ujęte w ramy komedyi Michała Bałuckiego. Warszawa zapoznała się już przed kilku miesiącami z ostatnim utworem naszego znakomitego komedyopisarza, dlatego też nie wdajemy się w jego rozbiór lub ocenę, ograniczając się jedynie do uwag dotyczących samej wystawy „Bajek“ u nas. Nie doznaję one tego powodzenia, co np. „Flirt“, nie

mówiąc już o szalonym sukcesie „Klubu kawalerów“ lub „Domu otwartego“, niemniej jednak utrzymują się na repertuarze dość długo, gdyż szóstego już doczekały się przedstawienia. Dla obeznanych z miejscowymi stosunkami teatralnymi fakt ten dużo mówi o sympatyi, jaką otoczone jest nazwisko autora, gdyż bardzo często najlepsze nawet utwory za drugim już razem bywają grane przy pustej sali. Im poważniejszą jest sztuka — tem mniej liczyć może na powodzenie, i w tym względzie o wiele lepiej, artystycznie przygotowana publiczność znajduje się już np. w Krakowie, gdzie choćby w ostatnich czasach dawany „Hamlet“ odgrywanym był wobec absolutnie wyprzedanego teatru. U nas szalona jakaś pogoń za coraz-to nową fabułą, zabija wszelkie estetyczne i umysłowe aspiracye, utrudniając niezmiernie zadanie kierownikom teatru. Ponieważ finanse ich silnie są w przedsiębiorstwie teatralnym zaangażowane, stawiają przeto interesy kassowe na pierwszym planie, schlebając gustom publiczności, a co zatem idzie, demoralizując ją coraz bardziej. Że cierpi na tem niesłychanie artystyczna strona sceny — wspominać byłoby zbyt ciężko: to też dawna świetna jej tradycja zanika coraz bardziej. W dniu pierwszym Kwietnia dyrekcya teatru przeszła w ręce p. Zygmunta Przybylskiego. Ważna ta zmiana przeprowadzona została tak pociechu i tajemniczo, że Lwów dowiedział się o niej dopiero przed kilku dniami. Wiadomość przyjęto przychylnie, niemal radośnie; osoba utalentowanego pisarza mało jest na bruku naszym znaną, ale komedye jego należą do najulubieńszych, to też wszyscy spodziewają się, że wyborna znajomość sceny i artystyczne przygotowanie autora „Wieka i Wacka“, wpłyną dodatnio na rozwój i powodzenie teatru lwowskiego.

Wracając do „Bajek“, od których odbiegłszy bardzo daleko, zaznaczyć musimy, że sposób traktowania tej sztuki przez tutejszą drużynę artystyczną zniżył znacznie charakter tej, i tak cokolwiek płaskiej, komedyi, której największą zaletę stanowi na gorąco pochwycona prawda życia, dotykająca nieznacznego napozór, a jednak tak częstokroć dotkliwego wrzodu społeczeństwa, jaki stanowią bezmyślnie a złośliwie wypowiedane plotki. Komizm cały sztuki polega raczej na sytuacyach, niż na charakterach, z których dopiero doskonała gra aktorska prawdziwe typy wykrzesać potrafi. Mężczyźni stanęli na wysokości swego zadania, zwłaszcza p. Siemaszko w roli Grubalskiego i p. Trapszo jako Pafeio, wywoływali wybuchy homerycznego śmiechu. Żeńskie atoli role, które prócz Wsibińskiej mało przedstawiają pola do popisu, nie zostały wyzyskane, a nawet były popsute choćby źle dobranym i zrozumianym ubiorem. Zamożna np. obywatelka ziemska Klonowska wygląda na własną klucznicę, córka jej Tacia przez trzy dni, podczas których akcja się rozgrywa, nie może się rozstać z balowym strojem, zaś p. Wsibińska, pobożna plotkarka, trzymająca w swych rękach wszystkie nieiskomplikowanej intrygi, uznana za stosowne szkaradę duszy zaakcentować brzydota ciała i nie zdołała wyobrazić sobie postaci komicznej, bez jaskrawych efektów rudej peruki, przedpotopowej sukni i kapelusza zdobnego w klomb bajecznego kwiecica. Pani Lüdowa w Warszawie pojęła, że śmieszna i złośliwa można być przy pozorach elegancyi i dobrego smaku, i jakże też potężne potrafiła wywołać wrażenie subtelnem cieniowaniem półtonów.

Autora, obecnego na premierze, przyjmowano owacyjnie, darząc go serdecznym oklaskiem w podzięce za te blaski serdecznej wesołości jakie wprawna dłonią potrafi zawsze wykrzesać z isker swego bogatego talentu.

Czas wielkopostny bywa zwykle we Lwowie poświęcany muzyce, którą nasza publiczność otacza niezmierną sympatją i nawet pewnem znawstwem. Oprócz zwykłych peryodycznych koncertów, powzięto od paru lat piękną myśl koncertowania corocznie w Wielkim Tygodniu wieczoru poświęconego wyłącznie muzyce kościelnej. Tym razem wybrano prześliczną, ale niesłychanie trudną, „Mszę solenną“ Rossiniego. Energiczna batuta dyrygentów p. p.

Cetwińskiego i Makarewicza zdołała doprowadzić chóry do idealnej niemal harmonii i zgody. Za to ustępy solowe wiele pozostawiały do życzenia. W tym sezonie mieliśmy jednak niezwykle mało koncertów z udziałem przyjeźdźnych, obcych artystów. Z tym większym przeto entuzjazmem przyjęło głośnie prawdziwie artystycznych uniesień miasto dwa wielkie koncerty dawnego swego ulubieńca, Barcewicza. Ostatnich lat kilka wpłynęło, z laje się, jeszcze na skryształizowanie tej niezwyklej, potężnej indywidualności muzycznej; nie tracąc nie z fantazyi i brawury, nabrał Barcewicz dziwnej słodyczy i miękkości tonu; w tańcach cygańskich elektryzował namiętnością, w precudnym koncercie Mendelssohna zdawał się naprzemian płakać i koić lży nieziemskim jakimś spokojem.

Publiczność, zasłuchana — zapierała oddech w piersiach, bojąc się utracić bodaj jeden ton, a cisza ta przechodziła następnie już nie w burzę, ale w huragan oklasków.

W pierwszym koncercie Barcewicza brała nadto udział córka zasłużonego artysty warszawskiego, panna Róża Rapacka. Młodziuchna artystka stawiała na estradzie pierwsze swe kroki, a towarzysząca im nieodstępna trema nie pozwoliła rozwinąć swobodnie zasobów świeżego, ładnego mezo-sopranu. Prócz panny Rapackiej ukazała się następnego wieczoru, obok znakomitego skrzypka, pani Honorata Leszczyńska, która z wdziękiem i finezyą zadeklamowała parę drobniaków Gawalewicza i Bałuckiego.

W dziedzinie literatury na zastój skarżyć się nie możemy, jakkolwiek zazwyczaj, nie wiosna, lecz jesień — ta pora obfitości we wszechświecie, zdaje się wpływać najkorzystniej na płodność pisarzy naszych. Z szeregu nowych książek, jakie się na półkach księgarskich ukazują, wyróżnia się przedewszystkiem dodatnio niezmiernie zajmujące, barwnie i żywo skreślona powieść znanego, utalentowanego pisarza, p. Adama Krechowickiego pod oryginalnym tytułem: — „Jestem“.

Autor nadzwyczaj subtelnie przeprowadza tu analizę duszy młodego malarza, któremu rozterka duchowa nie pozwala osiągnąć całkowitej pełni talentu, i który dopiero przez miłość i cierpienie dochodzi do zupełnego uświadomienia swego jestestwa. — Pan Kazimierz Rojan, młody, sympatyczny autor — romantyk lubuje się w charakterach ze spiżu i olbrzymiej działalności ludzkiej — może dlatego, że przymiotów podobnych tak mało widuje koło siebie. Wszakże to, słabość woli i owa sławna — *l'improductivité slave* to, niestety, znamienne cechy naszego społeczeństwa. Oby zatem bohater, jakiego nam p. Rojan ukazuje w swej „Masce“ (Lwów — Warszawa r. 1893), dzielny Stefan Urmin, stał się doścignionym ideałem dla tych, co czują w sobie porywy szlachetnych aspiracyi i pragnienie czynu.

Ale! czyż godziłoby się przeoczyć nową seryę nowel ulubieńca Lwowa i Warszawy, Chochlika — Zagórskiego? Obok cokolwiek zaniedbanej formy w niektórych ustępach, spotyka się tam prawdziwe perły dowcipu, szczęśliwych pomysłów i brawurowej iście techniki. Taka np. „Wenus w podróży“ cóż to za świetna satyra estetycznych gustów i sądów naszego ogółu!

Wielkie zasługi około podniesienia gospodarstwa rolnego i chowu bydła pokłada galicyjskie Towarzystwo gospodarskie, które właśnie przed paru tygodniami, na walnem zgromadzeniu zdawało sprawę ze swych czynności. Towarzystwo to, egzystujące od lat kilku zaledwie, rozwija bardzo energiczne i obfite w skutki działanie. Kilkunastu wędrownych nauczycieli gospodarstwa wiejskiego chodzi przez rok cały po najodleglejszych nawet wsiach i polach, udzielając praktycznych wskazówek nasion, chowu bydła, koni, gospodarstwa mlecznego. W roku bieżącym urządzono 10 powiatowych wystaw, na których przeważnie włościński dobytek się prezentował. W okolicach, gdzie lud intelligentniejszy, szkoły istnieją oddawna, a działalność Towarzystwa niezem nie jest paraliżowana; wystawy podobne, urządzane, naturalnie, na jak najskromniejszą skalę, dały już bardzo zadawalniające rezultaty w dorodnym zbożu, pięknych

lnach, dobrze utrzymanem bydłem i koniach, o którychby już może nie powiedziano, jak ów podróżnik niemiecki: „Es giebt in Galizien eine Art von Pferden die man *Koniken* nennt“. W okolicach jednak, gdzie panuje większa wśród wieśniaków ciemnota, lustracje gospodarstw i wystawy natrafiały na olbrzymie trudności, lud bowiem krył swój dobytek, nie chciał odpowiadać na pytanie, lękając się, że idzie tu o nałożenie jakiego nowego podatku.

W łonie gospodarki miejskiej niezupełnie dobrze się dzieje. Sala posiedzeń radzieckich w ratuszu lwowskim stała się niedawno widowiskiem namiętnych sporów, wywołanych kolidującą zachodzącą pomiędzy dwoma systemami tramwajów.

Towarzystwo belgijskie oddawna już zaprowadziło w naszym mieście tramwaye, robiąc na nich bardzo dobre interesa. Zeszłego roku pewne grono radnych miasta powzięło zamiar zaprowadzenia prócz istniejących, tramwayu elektrycznego, któryby pokrył siecią szyn całe miasto, a zwłaszcza połączył dworzec kolei głównej, z pięknym ogrodem i placem Stryjskim. Co prawda, pomysł ten — nie uderzał w najżywniejszą potrzebę miasta, a nakładał na nie olbrzymie ciężary: to też spotkał się z silną opozycją i przeszedł przeforsowany zaledwie małą większością głosów. Dziś jednak, gdy roboty są na ukończeniu, tor wszędzie już prawie ułożony, krzyżuje się *nota bene* i idzie równolegle na wielu ulicach z szynami kolei konnej, należałoby bodaj dla konsekwencji wspierać o ile możności, to śmiało i kosztowne przedsięwzięcie krajowe.

Tymczasem wobec różnych, niezupełnie uzasadnionych, pretensji Towarzystwa belgijskiego, które żąda ulgi i ustępstw bez miary, niektórzy z radnych okazują taką zgodność i kurtuazją — że aż ta naprowadza sfery lepiej z zakulisowymi sprawami magistratu obeznane do niezbyt dla nich pochlebnych wniosków. Nie też dziwnego, że obrady odbywają się burzliwie, a sporom i zarzutom niema końca. Takasama niezgodność zdań panowała podczas dyskusji nad udzieleniem pozwolenia na cyrk, przeciwko któremu podnosiło się wiele głosów.

W. N.

Postępy elektrokultury

podług

E. FALKENKORSTA.

Z bezprzykładną szybkością zdobywa elektryczność coraz nowe zwycięstwa w dziedzinie techniki. Oświetlenie elektryczne, elektryczne koleje, piece do topienia rudy, elektryczne przenoszenie siły... Wynalazki szybko po sobie następują i zaledwie oswoił się z telefonem, już występuje obok niego przyrząd Elizy Gray, piszący na odległość, który od jednego biura do drugiego, na odległość całych mil, przenosić ma listowne komunikaty w wiernych kopiach, naśladujących pismo w takim stopniu, że staną się one prawdziwymi autografami. Cudowna siła, z nieograniczoną umiejętnością przystosowania, wkracza w najrozmaitsze terytoria działalności ludzkiej. Porusza ona maszyny wszelkiego kształtu i wielkości. Wszystko to przecież nie wystarcza; powinna więcej dawać, winna prądami swemi przenikać żyjące organizmy, zmuszać rośliny, aby szybciej kiełkowały i rosły, pięknie kwitły i obfite przynosiły owoce!

Oddawna pracuje świat uczony nad rozwiązaniem tego zadania, a o elektrokulturze, o zastosowaniu elektryczności do przyspieszenia wzrostu roślin, istnieje już bogata literatura. Postępy są przecież w tym zakresie nie tak bijące w oczy, — istoty żywe nie dadzą się dowolnie szeregować, jak kawałki węgla w maszynie. Ogrodnik elektryczny musi przede wszystkim zbadać potrzeby

roślin, przystosować do nich elektryczność, a tu natrafia na trudne kwestye, które rozstrzygnąć się dają dopiero po całych latach obserwacji i prób. Dążności jego nie są przecież beznadziejne, gdyż, o ile dotąd zdać sobie można sprawę z możliwości tych robót, zdaje się być usprawiedliwioną nadzieją, że elektryczność przyczyni się kiedyś do napełnienia zbożem naszych śpiechrów.

Czy elektryczność ma wogóle jakikolwiek wpływ na wzrost roślin? Wieśniacy, posiadacze od całych tysięcy lat nauki doświadczalnej, oddawna odpowiedzieli twierdząco na to pytanie, mówiąc, że deszcze podczas burzy więcej od innych użyźniają pola, i że w życiu roślinnym spostrzedz się daje krótki, ale potężny rozwój po każdej burzy. Nauki przyrodnicze potwierdziły to przekonanie. Już w zeszłym stuleciu przeciagał Gardini druty metalowe ponad grzędami kwiatów w jednym z ogrodów turyńskich. Ponieważ druty te przejmowały elektryczność, znajdujące się poniżej rośliny zostały jej wpływu pozbawione. Następstwa były uderzające wyraźne; rośliny pod drutem ginęły widoczne, przychodząc do siebie dopiero po jego usunięciu.

Przed piętnastu laty na większą skalę doświadczenia podobne robił Grandean. Ponad roślinami rozciągał sieci druciane o szerokich okach, na sąsiednich zaś grzędach rosły tesame gatunki roślin bez takiej przezroczystej okrywy. Okazało się, że wchłonięcie elektryczności atmosferycznej zaszkodziło roślinom; dawały one 50—60% mniej owoców od tych, które rosły swobodnie, a nawet pozostawały o 50—70% w tyle za niemi. Próby wykonywane przez innych badaczy w celu potwierdzenia zjawiska wykazały prawdziwość tych obserwacji.

Istnieje przeto rzeczywiste oddziaływanie elektryczności na drzewa, zioła i trawy, jest przeto możliwym wzrost ich uczynić szybszym przez znaczniejszy dowóz tej cudownej siły; zadaniem naszym będzie zbadać dokładniej ten stosunek.

Pomysł elektrokultury nie jest nowym i nie powstał w naszych czasach. Już w 1746 r. doprowadzał Mombray w Edynburgu elektryczność do dwóch krzaczków mirtu, osiągając w ten sposób duże korzyści. Od owego czasu powtarzano niejednokrotnie podobne doświadczenia, które w ostatnim lat dziesiątku coraz częściej się stawały. Zpośród tych faktów wymienimy tu takie, które stanowiły istotne dowody i przeprowadzone były w warunkach, które sama ich prostota i małe koszta czynią dostępnymi i dla szerokiego koła gospodarzy i ogrodników naszych.

Zwracamy się przede wszystkim do pierwszego i najważniejszego zjawiska z życia roślin, jakim jest kiełkowanie nasion.

W słynnych ogrodach Kew pod Londynem siał Spechnen rozmaite nasiona, wystawione poprzednio na działanie prądu elektrycznego. Odwrotną próbą było zasiewanie nasion tej samej rośliny, nie poddawanych elektrycznemu prądowi. Powodzenie było zupełne. Nasionie poddane elektryczności weszło prędzej, dając bujniejsze rośliny. Elektryzowane żyto weszło po 2 dniach, nieelektryzowane próbne po trzech, elektryzowany groch po 2½, groch zwykły po 3, elektryzowana fasola weszła po 3 dniach, fasola niepoddana elektryczności po 6-u, słonecznik elektryzowany po 8½, nieelektryzowany po 15-u i t. p.

Paulin w Monbrison rozpoczął szereg prób z elektrycznością wywołowaną przez tarcie, która dawała jeszcze lepsze rezultaty. Elektryczność budziła w nasionach siłę kiełkowania, uspioną już pozornie. Pracował on nad nasionami, mającymi 20 lat wieku, które nie chciały wschodzić przy zwykłym zasiewie, ale weszły natychmiast po przygotowaniu elektrycznym. Nasiona roślin zagranicznych jak np. pestki daktylowe, rzadko kiedy wschodzą w umiarkowanym klimacie; skoro Paulin przygotował je elektrycznie, wschodziły z łatwością. Dalsze próby dowiodły, że z określonej ilości nasion, podzielonych na dwie równe połowy, część elektryzowana dawała więcej kiełków od nieelektryzowanej.

Sposób, jakiego używał Paulin, nie jest trudny i wymaga tylko zwykłej maszyny elektrycznej z tarczami szklanymi. Sypie się wilgotne nasiona do szklanej fiaszki z szeroką szyjką, której

zewnątrzna ściana oblepiona jest cynfolią. Fiaszka zakrywa się korkiem, przez który przeprowadzonym jest drut miedziany, sięgający aż do nasion. Jest to dobrze znana butelka lejdejska, którą w tym razie wypełniają wilgotne nasiona.

Z konduktorem maszyny elektrycznej drut miedziany łączy się, wprawia ją w ruch i naładowuje fiaszkę elektrycznością aż do zupełnego jej przesycenia. To naładowanie powtarza się co godzina, a według doświadczeń Paulina elektryzować trzeba 12 razy, co godzina, a więc w ciągu jednego dnia, gdy chodzi o zwykłe rośliny warzywne. Zboże wymaga 24 razy naładowania fiaszki elektrycznością, a więc dwóch dni, nie licząc noc. Przy doświadczeniach z nasionami drzew owocowych, czy leśnych prowadzimy doświadczenie od 3 do 8 dni. Nasionie wysiać trzeba natychmiast, jeszcze wilgotne; jeżeli wyschnie, to elektryczność przestaje działać.

Drugim zadaniem elektrokultury jest doprowadzanie elektryczności do roślin już rosnących. Próbowano dokonać tego różnemi sposobami, zrazu zanurzano na przemiany blaszki miedziane i cynkowe w ziemię, przemieniając w taki sposób grunt uprawny w baterję galwaniczną, w której prąd ciągle miał krażyć; później doprowadzano do gruntu różne prądy, wytwarzane przez maszyny dynamo-elektryczne. Wyniki osiągnięte przez takie doświadczenia były bardzo niepewne; w niektórych przypadkach zauważyć można było szybki wzrost i obfite żniwa, w innych zaś, jak mówiono, wpływ był wprost szkodliwym. Ponieważ ten sposób doprowadzania elektryczności do gruntu jest oprócz tego bardzo kosztowny i w praktycznym życiu nie może być z korzyścią użyty, nie będziemy się więc dłużej nad nim zastanawiali, zwracając jedynie uwagę na te wypadki elektrokultury, gdzie zużyta zostaje elektryczność atmosferyczna.

Już w 1848 r. Beckensteiner zajmował się rozwiązaniem tego zadania, zbierając elektryczność atmosfery przy pomocy konduktorów i przeprowadzając ją do gruntu, aby oddziaływała tam na korzenie roślin. Wyniki prób Beckensteinera zachęcały do dalszych doświadczeń, ale zjawisko światła elektrycznego, które towarzyszyło burzom, zbierając się przy „geomagnetiferach“, jak nazywał swoje aparaty wynalazca, odstraszyły rolników od dalszego ich używania. W późniejszym czasie doświadczenia powtarzano, przytwierdzając do zwykłych konduktorów druty i osadzając je w bliskości korzeni roślinnych. Próby te z samej natury rzeczy zadawałniami być nie mogły, gdyż w bliskości konduktorów brakowało zwykle warunków celowej kultury roślin.

W najnowszych czasach uwzględniono znowu geomagnetifery, które wspomniany już Paulin w Monbrison ulepszyć się starał. Ulepszony aparat wykonany ma być w następującej postaci:

W pośrodku gruntu przeznaczanego do kultury elektrycznej zasadzają słup drewniany, wkopany silnie, wysokości 10—20 metrów. Na wierzchołku słupa znajduje się porcelanowy izolator, na którym przyczepia się zbiornik elektryczności, stanowiący metalową miotłę z 5 drutów miedzianych, z których każdy pół metra długi ma 4 metry grubości. Od tego zbiornika wzdłuż izolatora idzie drut z galwanizowanego żelaza o 4 metrach grubości aż do gruntu, gdzie łączy się z galwanizowanymi żelaznami drutami, rozdzielającymi elektryczność. Galwanizowane druty żelazne tworzą kwadratową siatkę (na rysunku naszym oznaczoną kropkowanymi liniami), w której jeden drut odległy jest od drugiego o 2 metry blisko. Głębokość, na jaką zanurzony jest rozdzielacz, zależna być musi od przyrody uprawnych roślin. Dla krzewów winnych wystarcza głębokość 0.4 m., dla łąk i pól zbożowych 0.15 m.

Promień, w jakim działa siła geomagnetifera, zależy od wysokości słupa; rozciąga się ona do obwodu koła, którego środek stanowi słup, a średnica równa się długości czterech słupów. Słup przewyższać przecież musi wszystkie przedmioty na powierzchni owego koła. Jeżeli w bezpośredniej bliskości magnetifera stoją drzewa

wyższe od niego, to odciągają elektryczność i aparat wcale nie działa.

Pierwsze próby z tym aparatem wykonane zostały w Monbrison w r. 1891. Podnosimy tu niektóre rezultaty: Na polu kartoflanem wzniesiono magnetifer wysoki na 8,5 metra. Kultura elektryczna wytworzyła, licząc na hektar, zbiór 28.000 kilogr. kartofli, w tym samym czasie kiedy kartofle prowadzone bez elektryczności dały tylko 18.700 kilogr. na hektarze. Elektrycznie uprawiane kartofle odznaczały się nadto dobrocią, gdyż, jak wskazywał rozbiór, zawierały w sobie 17,8% krochmalu, podczas kiedy kartofle sadzone dla porównania tylko 15,3%. Wzrost jarzyn także przyspieszony był przez kulturę elektryczną, udało się np. otrzymać szpinak ołbrzymiej wielkości. Z magnetiferem 14 m. wysokości zrobiono próbę na górze zasażonej winnicą; i tu elektrokultura wydała piękniejsze i słodsze winogrona.

Ostatnie miesiące były, niestety, bardzo niekorzystne dla dalszych prób nad działaniem elektryczności na uprawę naszych roślin. Wielkie gorąco i susza, które przejawiały się w lecie 1892 roku, a także susza miesięcy wiosennych z 1893 r. pozabawiły rośliny wody, tego pierwiastku życia, którego elektryczność zastąpić nie mogła. Wzrost w tym czasie opóźnił się, zarówno na zwykłych polach, jak i na terytoryach, poddanych działaniu magnetiferów.

W Belgii użyto jeszcze prostszych sposobów przy elektrokulturze. Lagrange wkładał na 0,15 m. głębokości kwadratową siatkę z galwanizowanego drutu i w rozmaitych jej punktach zasadzał druty na pół metra wysokie. Te wehłaniały elektryczność z atmosfery i za pośrednictwem siatki przeprowadzały ją do gruntu i korzeni. Próba z kartoflami wykazała na przestrzeniach jednakowego obszaru następujące zbiory: przestrzeń z kulturą elektryczną 103 kg., grzędy ze zwykłą uprawą 80 kg. kartofli.

Kultura elektryczna znajduje się właściwie jeszcze w studium próby naukowej; nie jesteśmy dotąd w stanie dać stałych wskazówek praktycznych. Zdaje się, że różne rośliny rozmaicie się zachowują wobec dopływu elektryczności i każda z roślin pól naszych musi być oddzielnie badana. Z rezultatów już otrzymanych wypada przecieć, że elektryczność w pewnych granicach stać się może użyteczną gospodarzowi, jako pobudzająca wzrost roślin. Ponieważ wydatki na urządzenie magnetiferów według wskazówek Paulina, czy też Lagrange'a, nie są zbyt wysokie, powinno być możliwem dla wielu ogrodników, właścicieli winnic i gospodarzy, dokonywanie prób na swoich polach. Może też praca nasza stanie się pobudką dla nich w tym kierunku

w 1881 r. na rzecz kościoła po-karmelickiego w mieście naszym.

— W rozdawaniu przez Tow. Dobroczynności święcenia ubogim brały współudział panie: A. Zomerowa i Teodora Chodkowska, oraz panny: Stanisława Czebotówna, oraz Marya, Zofia i Eugenia Chodkowskie.

— P. Marya Grabowska, mieszkanka Szmulowizny, stara się, przy współudziale pań, równie dobrego serca, o wzniesienie tam żłobka dla dzieci, których matki, pracując na kawałek chleba, spędzać muszą dzień cały poza domem. Zaczyna ta pani pragnie urzeczywistnić swój zamiar jeszcze przed rozpoczęciem prac budowlanych, przy których znaczna liczba kobiet, przybieranych do pomocy mularzom, znajduje zarobek.

— P. Marya Bronisława Wiesiołowska, przełożona szkoły rysunkowej dla kobiet, przesłała sekcji technicznej Tow. popierania handlu i przemysłu list, w którym podnosi sprawę pracy kobiet w tym zakresie, pytając: 1) Jak członkowie stowarzyszenia w sekcji technicznej zapatrują się na tę sprawę? 2) Czy w razie wytworzenia się pewnego zastępu wykwalifikowanych rysowniczek w kierunku szablonów architektonicznych, znalazłyby one zajęcie w biurach Towarzystwa? 3) Czy należy wpływać na zdolne uczennice, aby porzucały kierunek czysto-artystyczny, gdzie mogłyby rozwijać wyższe zdolności malarskie, gdy sztuka stosowana w drobnych okazach swoich nie jest odpowiedniem dla nich zajęciem i celem? 4) Ile godzin dziennie trwa zajęcie w biurach sekcji technicznej Towarzystwa? 5) W jakim stosunku do pracy bywa wynagrodzenie? 6) Ile już jest pracowników takich, zajętych w biurach Towarzystwa? Prezydium sekcji zajmie się odpowiedzią na zadane pytania.

— P. Kuczalska-Reinschmit podniosła głos w sprawie ochraniarek, a to wskutek wniosku podniesionego w radzie Tow. Dobroczynności: zniesienia wakacji dozoreczny w ochronach, z powodu, że dzieci uczęszczające do ochron potrzebują opieki, jaką tam otrzymują, tak w letnich, jak i w zimowych miesiącach. Ochroniarka przecieć, której praca bynajmniej lekką nie jest, ponieważ trwa tak w lecie, jak w zimie siedem godzin dziennie, spełniając dozór nad dziećmi od lat trzech do siedmiu, a bywa ich zwykle od czterdziestu do sześćdziesięciu, ma zajęcie bardzo uciążliwe i wyczerpujące, usposabiające do cierpień gardła i piersi. Za taką pracę otrzymuje ochroniarka, obok mieszkania, opału i opłatę na usługę 3 rs. miesięcznie, co pozwala ledwo na utrzymanie sługi przychodniej, i, jeżeli ochroniarka nie posiada innych zasobów, znosić musi wręcz niedostatek.

— Prospekt zakładu gospodarczego hr. Cecylii Plater Zyberkówny w Chyliczkach pod Piasecznem, założonego z celem kształcenia dziewcząt od lat 15 lub 16 w praktycznym zawodzie gospodarstwa kobiecego na wsi, obejmuje działów dziesięć nauki teoretycznej i praktycznej. Zakład ma dwa oddziały: jeden kształcący dziewczęta z klasy niezamożnej na płatne gospodynie, wyręczycielki pani domu; drugi, mieszczący uczennice z klasy zamożnej, pragnące się obeznac z wiadomościami praktycznymi gospodarstwa. Opłata roczna w oddziale pierwszym jest 120 rs. rocznie, a wymaganiem jest od uczennic tego oddziału, aby, wchodząc, umiały czytać, pisać i znały cztery działania arytmetyczne, a kurs ich nauki trwać ma lat trzy; przecieć dla starszych nad lat osiemnaście i szczególnie zdolnych skraca się on wyjątkowo do lat dwóch. W ciągu tego czasu uczennice obowiązane są do pracowitego zajmowania się czynnościami gospodarskimi. Uczennice oddziału drugiego płać rocznie 300 rs., pracują własnoręcznie o tyle tylko, ile to jest potrzebnem dla praktycznej ich nauki gospodarstwa. Każda uczennica wzorowa otrzymuje odpowiednie świadectwo przy zdaniu egzaminu; szkoła nie kształci bynajmniej specjalistek w oddzielnych gałęziach gospodarstwa, lecz może przyjdzie do tego z czasem. Zapis uczennic odbywa się w Warszawie, w kancelaryi zakładu hr. Plater Zyberkówny; obecnie znajduje się w Chyliczkach uczennice 16, z których 14 płaci od 100 do

120 rs., dwie jest bezpłatnych i jedna praktykantka.

— W Krakowie powstała pożyteczna instytucja: szkoła nauczająca pielęgnowania rannych i udzielania pomocy w nagłych wypadkach gwałtownego zastoju. Założona przez miejscowe siostry miłosierdzia, zgromadza ona kilkadziesiąt kobiet, przeważnie z klas wyższych, słuchających wykładów D-ra Rossowskiego.

— Otwarta w Paryżu, w pałacu przemysłu, doroczna wystawa malarek i rzeźbiarek, urządzona przez Stowarzyszenie kobiet artystek, a licząca około tysiąca obrazów, zyskała sobie w tym oddziale uznanie tak krytyki, jak i publiczności; znaczna też liczba wystawionych płócien została nabyta. W oddziale rzeźb wystawiono okazów tylko dwadzieścia, przeważnie popiersi.

— Zamożne panie, Paryż zamieszkujące, urządziły pomiędzy sobą zebrania, w czasie których pracują na korzyść kobiet ubogich, zwłaszcza obciążonych liczną rodziną. Wyrabiają na tych zebraniach nie tylko roboty eleganckie, jak hafty, kwiaty sztuczne, które idą na sprzedaż do sklepów, ale szyją bieliznę, zwłaszcza dziecięcą; materiał zakupowany jest w części za pieniądze składkowe, w części otrzymywany ze sklepów, jako datek dobroczynny. Siostry miłosierdzia rozdają ubogim przedmioty wyrobione na ten cel, oraz zapomogi w pieniądzu, zyskanych tym sposobem.

— W Londynie zawiązało się stowarzyszenie pań z celem wykładów publicznych w zakresie ekonomii domowej. Między innymi przedmiotami są tu wykłady nauki kucharskiej w trzech oddziałach: potraw wykwintnych, potraw dla osób stanu średniego i potraw dla ludzi ubogich. Obok sali odczytów znajdująca się obszerna kuchnia pozwala na lekcje gotowania praktyczne. Liczba słuchaczek tych kursów jest bardzo znaczna, i to nie tylko z klas zamożnych; bywają tu kobiety i dziewczęta z ludu chcące kierować się na kucharki.

— Towarzystwo zabezpieczenia losu starych pań powstało w Londynie. Jeżeli zabezpieczoniane wyjdzie za mąż do roku czterdziestego, otrzymuje pewną sumę pieniędzy, odpowiednią do składek wnoszonych, która ułatwi jej życie o sile własnej, gdy siła ta z wiekiem słabnąć będzie. Jeżeli stowarzyszona wyjdzie za mąż, nie otrzymuje nic ze złożonych pieniędzy, i te powiększają kapitał zakładowy stowarzyszenia. Ponieważ w Anglii znajduje się 600.000 kobiet więcej, niż mężczyzn, Towarzystwo jest zatem wielce pożyteczne.

— W Londynie wytworzyło się stowarzyszenie „Pań rozsądnych“, to jest kobiet dobrych gospodyń, których obowiązkiem jest znać się dokładnie na gospodarstwie domowym: na gotowaniu, praniu i tym podobnych zajęciach gospodarskich. Stowarzyszenie urządza serye odczytów w rozmaitych gałęziach ekonomii domowej. Są obok tego odczyty dla służących, objaśniające je szczegółowo w różnych gałęziach ich obowiązków, przy czem nie pominięto stosunku ich moralnego do rodziny chlebobawców.

— Panie należące do londyńskiego Tow. Dobroczynności urządziły seryę pogadanek w zakresie obowiązków swoich, a to: jak dobroczynność powinna być wykonywana? jak sprawdzać stan ubóstwa osób wspieranych, jak spełniać uczynki miłosierne? Uczucie litości nad nędzą bliźnich naszych nie powinno się zamykać wobec upadków moralnych, nie stając się przecieć pobłażliwością psującą. Należy się podawać rękę ratunku najniższemu upadłemu, z tym względem przecieć: czy pragnienie poprawy jest tu rzeczywistym? Nawet wobec recydywy złego nie godzi się odrzucać zupełnie winnego i potrzeba czuwać nad nim, przychodzić mu z pomocą, aby nie upadł jeszcze niżej.

— M-rs Marya Hughes, w Londynie mieszkająca pani, wytworzyła związek kobiet dobrej woli, dość zamożnych, aby nie potrzebowały pracować na chleb, lecz za to potrzebującym pracować z pomocą przychodziły. Jedną z gałęzi Związku wzięła za zadanie dostarczać pracującym dobrej zabawy. Co sobota wieczorem odbywają się staraniem Związku urządzone koncerty dla robotnic fabrycznych, oraz sklepowych. Obok tego odbywają się koncerty podobne dla młodzieży męskiej, dla ro-

Kronika działalności kobiecej.

— W Moskwie powstał projekt stowarzyszenia kobiet z celem dostarczania środków lekarskich ubogim, a to składając w wybranych przez Stowarzyszenie aptekach tak jednorazowe, jak stałe, miesięcznie uiszczane, składki.

— W Petersburgu grono pań, zajmujących się kwestyą wychowania, postanowiło wnieść do ministerium oświecenia podanie, aby liczba godzin nauki dziewcząt mogła być zwiększona, jak to dzieje się w gimnazyach chłopców oraz w niektórych szkołach zawodowych, gdzie podniesiona liczba godzin dochodzi do 48 tygodniowo, to jest 8 godzin dziennie, co przecieć jest nadmiernem, więc szkodliwem męceniem niedojrzałego umysłu.

— Zatwierdzonym został przez władzę zapis testamentowy ś. p. Julii Kosowskiej, uczyniony

dzin rzemieślników, gdzie wraz z rodzicami przybywają tak córki, jak synowie. Królowa Wiktorja przyjęła bardzo łaskawie deputycją Związku, do którego się zapisała.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż otwartą tam została nadzwyczajna konferencja w celu uregulowania taryf kolejowych. W konferencji tej bierze udział dwudziestu pięciu przedstawicieli kolei zagranicznych. Przedstawiciele Niemiec proponowali zniesienie taryf o 40% do wszystkich ważniejszych stacyi niemieckich.

— W zarządzie naszego miasta podniesionym został projekt podwyższenia opłaty na rzecz kontroli sług przy każdej zmianie służby z 60 kop. na 1 rs. Opłata ma być wnoszona w połowie przez służbę, w połowie przez pracodawców. Dochód z tego źródła jest obracany na utrzymanie kontroli sług, na nagrody dla służby, na zasiłek domu Sal przytułkowych, dla sędziwych sług pici obojga w Przytułku starców Ś-go Ducha i Panny Maryi.

— Wyższa szkoła ogrodnicza zostanie niebawem otwartą. Ustawa szkoły zyskała już przychylną opinią władzy edukacyjnej i ma być przedstawiona ministeryum oświaty do ostatecznego zatwierdzenia. Nie czekając na wzniesienie własnego gmachu, szkoła zostanie zapewne pomieszczona w domu najętym w pobliżu ogrodu pomologicznego; czynią też wszelkie możliwe starania, aby otwarcie nastąpiło w jesieni.

— Dochód z odczytów wygłoszonych przez p. A. Pileckiego na temat: „Kobiety poetki“ przeznaczyl prelegent na korzyść Tow. Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych, czyli na poprawę i wykształcenie moralnie zaniedbanych dzieci, chłopców, w osadzie Studzienickiej i założenie w Puszczy przytułku dla dziewcząt.

— Wybory do komitetu Tow. Muzycznego powołały ponownie p.p. Aleksandra Polińskiego, Bogumiła Folanda, Emila Marxa, oraz p.p. Stan. Ciechomskiego i Piotra Hosera; do delegacji rewizyjnej p. W. Zienkiewicza, Edwarda Rüdigerera i Roberta Wolffa.

— Nowy obraz Siemiradzkiego, przedstawiający powrót zakonnie z wycieczki miłosiernej, przysłany został do naszego miasta. Jest to własność prywatna p. D. i nie wiadomo czy utwor ten będzie wystawiony na widok publiczny.

— Czwarty tom Skarbczyka, mieszczącego dumy i pieśni ludzi, które p. Zygmunt Gloger zebrał z niesłabnącem nigdy zamiłowaniem poezji ludowej, wyszedł świeżo. Nie potrzeba dodawać jak tu jest zasługa zbieracza, który do skarbów poezji naszej dodaje to, co rdzennie do niej należy.

— Komitet pań w Tow. Opieki nad zwierzętami, zostający pod kierunkiem p. J. Sikorskiej, urządził, jak wiadomo, szereg odczytów na korzyść Towarzystwa urządzonych. Pierwszy z kolei: „Czem dla ludzi jest ogród“, wygłoszony przez redaktora *Ogrodnika Polskiego* p. E. Jankowskiego, zgromadził znaczną liczbę słuchaczy, szczególnie słuchaczek, a był nietylko pożytecznym co do treści swojej, ale bardzo pięknie, krasomowczo wygłoszonym. Ogród przedstawił prelegent jak

kawałek raju na ziemi, i tak też jest niewątpliwie. Piękno, jakie tu wytworzyć można naturalnymi, prostymi środkami, oddziaływa na człowieka i z tą myślą wykazywał prelegent moralne wpływy ogrodu, który daje nam wśród trosk, męczących życia zabiegów ukojenie łagodnie, słodko oddziaływające. Biedna ludzkość — tak się wyraził prelegent — potrzebuje tego, aby miała gdzie odpocząć i w zeknięciu z naturą podnosić się nad życia stosunki sztuczne. Zwrócił też uwagę na ogrody szkolne, które nowoczesna pedagogika uważa za środek pomocniczy w oddziaływaniach edukacyjnych.

— Sprawa budowy nowego kościoła w Radomiu bardzo pomyślnie się rozwija. Pleban miejscowy, kanonik Urbański, ma na ten cel ze składek 1.000 rs., drobne ofiary składane w redakcyi „Gazety Radomskiej“ przyniosły 60 rs.

— Zmarł w Krakowie Włodzimierz Łuski, malarz szlachetnego natchnienia, oraz literat. Urodzony w Witebsku w 1850 r. podróżował po Europie w celu poznania arcydzieł sztuki i 1892 r. przebywał w Paryżu, gdzie zarazem czynił notatki potrzebne mu do opisu podróży swoich, które postanowił ogłosić drukiem. To ściągnęło na niego podejrzenie, że czyni to na korzyść niemieckiego ministeryum wojny. W 1890 r. wiele dzieł jego pendzla było wystawionych w Salonie Krywulta, gdzie też znajduje się obecnie jeden z wyższych jego utworów „Jeździec starożytny.“

— P. Z. Przybylski ogłosił taki list otwarty: „Obejmując zarząd teatru lwowskiego mam sobie za obowiązek oświadczyć iż będę w nim pierwszym sługą publiczności, ale pochlebą nie jej. Nie zawiedzie mnie, jak sądzę, współudział szanownych artystów sceny lwowskiej, pragnąc też, aby między mną a nimi wytworzył się stosunek wzajemnego zaufania, będę prosił o ściśle z ich strony wypełnianie obowiązków, a moich względem nich nie zapomnę nigdy. Zamierzam oprócz byt i rozwój sceny na zdrowych zasadach etycznych, ufając w życzliwość i sympatyę wszystkich ludzi dobrej woli.“

— Literat francuzki, Piotr Loti, wyprawił się z gronem uczestników w podróż do Jerozolimy, gdzie stanął szczęśliwie, przebywszy mozołnie pustynię Petra, o czem doniósł telegraficznie redakcyi *Figara* uczestnik wyprawy, ksiądz de Dino

— Przyrodnik amerykański, Willman; zamierzył odbyć podróż do bieguna północnego. Łódzie glinowe, zbudowane w Baltimore, zkad wyprawa wyruszy, zostały poddane próbie, dokonywanej przez dwóch biegłych przysłanych w tym celu przez rząd z Nowego Yorku. Łódź, mająca osiemnaście stóp długości, cztery szerokości, a dwie głębokości, ważyła 350 funtów, — to też jeden człowiek, siadłszy z boku na jej brzegu, nie zdołał jej przewrócić. Obciążona ciężarem 4.461 funtów ważącym, utrzymywała się jeszcze wśród bocznych ścian swoich o 4½ cale nad powierzchnią wody, a wywrócona gwałtem, zapelniła się wodę tylko do połowy. Zarząd floty amerykańskiej wyraził też zdanie, że jeżeli łódzie glinowe wykażą przy użyciu praktycznym te same właściwości, staną się one, zwłaszcza w zakresie ratunkowej służby morskiej, rzeczą wysokiej wartości, a odkrycie tych ich przymiotów — zasługą dla ludzkości.

KOMITET DAMSKI

warszawskiego oddziału

Towarzystwa opieki nad zwierzętami.

Ma zaszczyt zawiadomić, że zapowiedziane w pismach codziennych i tygodniowych **Odczyty popularne**, urządzone staraniem Komitetu, rozpoczęły się z dniem 1 Kwietnia r. b., w wielkiej sali Muzeum przemysłu i rolnictwa i odbywać się będą w dni niedzielne o godz 5-ej po południu.

Dochód osiągnięty z tych odczytów obrócony zostanie na zakupno lub wydawnictwo książeczek popularnych specjalnych, jako też i treści ogólnie umoralniających — i rozdawanie ich bezpłatnie między ludem miejskim i wiejskim.

Cel odczytów i udział w nich znanych i cenionych popularyzatorów wiedzy pozwalają Komitetowi mieć nadzieję, że Redakcja nie odmówi mu swego cennego poparcia.

Przewodnicząca w Komitecie, Julia Sikorska.

Sekretarka, Marya Izycka.

ODCZYTY POPULARNE.

P. Julian Ochorowicz „O koniu ze stanowiska psychologii“.

P. Odo Bajwid „Drobne żyjątka zdrowiu szkodliwe i sposoby ich unikania“.

P. Edmund Jankowski „Czem dla ludzi jest ogród“.

P. Maksymilian Flaum „O wódce, piwie i winie“.

P. Seweryn Sterling „Zasady higieny zawodowej“.

P. Marcin Osmała „Czechy i ich wpływ na rozwój rzemiosł“ i Wykształcenie terminatorów rzemieślniczych w Warszawie“.

P. Aleksander Palmirski „Życie i jego przejawy jako przedmiot nauki“.

P. Władysław Umiński „O zwierzętach ginących“.

Niektóre odczyty urozmaicone będą doświadczeniami, obrazami niknącymi, tablicami i okazami.

Bliższe szczegóły o każdym odczycie pomieszczone będą na oddzielnych afiszach.

Cena miejsc: krzesło w 1-szych rzędach 45 kopiejek, w środkowych 30 kop., w dalszych 20 kop., wejście do sali 10 kop.

Biletów dostać można: w Kancelarii Towarzystwa Op. n. zw. Zielna 19, w mieszkaniu Przewodniczącej J. Sikorskiej, Warecka 14, w Szkole Rzemiosł W-nej Korycińskiej Krakowskie-Przedmieście 17, oraz w dzień odczytu, na godzinę przed rozpoczęciem, przy wejściu do sali Muzeum, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści „Lady Verner“, przekład z angielskiego ark. 3-ci.

TREŚĆ: Wśród fal, przez Kazimierza Glińskiego. — Kobieta w starożytnym Rzymie, przez Józefę Żdzarską. — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bączkowską (dalszy ciąg). — Korrespondencja zagraniczna. — Postępy elektrokultury, podług E. Falkenkorsta. — **Kronika działalności kobiecej.** — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 3-ci T. I, **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści Lady Verner. przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 28 wzorów i robót z opisem. Sekretu gospodarskie. — Dyspozycja stołu.